
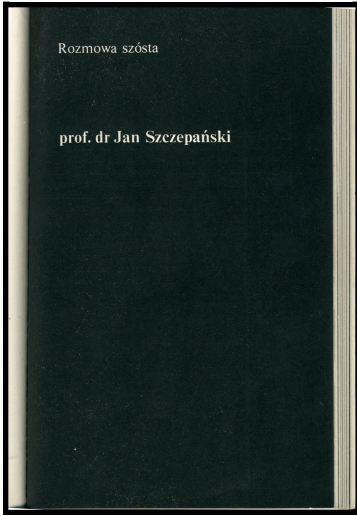




<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p style="text-align: center;">Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii Rozmowa szósta – prof. dr Jan Szczepański. Ślad odcisnięty ręką, [w:] „Mistrz”</p>		
<p>Ilość stron oryginału 18</p>	<p>Ilość skanów 18</p>	<p>Liczba plików publikacji 39</p>
<p>Autor Zofia Szlachta, Jan</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny RSW „Prasa – Książka – Ruch” ,</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania Warszawa</p>	<p>Rok wydania / Data powstania 1984</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) Książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 12,2 x 19,6 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu Odpowiedź Jan Szczepański na pytanie, kto jego zdaniem zasługuje na tytuł mistrza i jakimi cechami ów mistrz powinien się charakteryzować. Wymienia też takich mistrzów swojej młodości, jak Jan Wantuła, Julian Przyboś czy Florian Znaniński.</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) XX wiek, 20 – lecie międzywojenne, Polska Rzeczpospolita Ludowa, Jan Szczepański, Zofia Szlachta, Florian Znaniński, Max Weber, Jan Wantuła, Julian Przyboś, Kornel Filipowicz, Florian Znaniński, Ustroń, Cieszyn, Warszawa.</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.) historia, etyka, protestantyzm, praca, Kościół Ewangelicko – Augsburski w Polsce, społeczeństwo, socjologia, filozofia, nauka polska, metodologia nauk społecznych, wychowanie, szkoła, oświata, szkolnictwo wyższe, filozofia.</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		



Rozmowa szósta

prof. dr Jan Szczepański

M

istrz? Myślę, że rozmówca, któremu stawia pani takie pytanie, szuka nauczyciela, do którego jest rzeczą zaszczytną się przyznać. Trochę jednak człowieka ponosi, kiedy mówi, że wyszedł ze sławnej szkoły i od wielkiego uczonego. Gdybym wybrał tę receptę, wówczas rozmawialibyśmy o Florianie Znanieckim, wielkim człowieku, którego skądinąd na pewno warto przypomnieć. Ale z im dalszej perspektywy patrzę na własne życie, tym wyraźniej dochodzę do wniosku, że trzeba przywoływać do życia nie tych uczonych, którzy nas wprowadzili do wielkiej nauki i pokazali jej nieograniczone perspektywy, ale tych, co nauczyli nas czytać i pisać, którzy byli przy nas, kiedy zaczynaliśmy dopiero świadome życie. Tamci wielcy mogli budować tylko wtedy, gdy podstawy już istniały i były solidnie położone. Myślę teraz o nauczycielach szkoły podstawowej i jeszcze o tych wcześniejszych, tych, którzy w ogóle byli pierwsi — o moich rodzicach i o ludziach z najbliższego otoczenia, z którymi wtedy się stykałem, którzy we mnie zostawili ślad.

Mistrzem młodości był dla mnie ojciec. Nauczył mnie tego, o czym w dwadzieścia lat później dowiedziałem się, że jest protestancką etyką pracy. Nazwał tę etykę oczywiście nie mój ojciec, który nie miał pojęcia, że to, co mówi, jest etyką, lecz Max Weber. System jest prosty, polega na rzetelnym stosunku

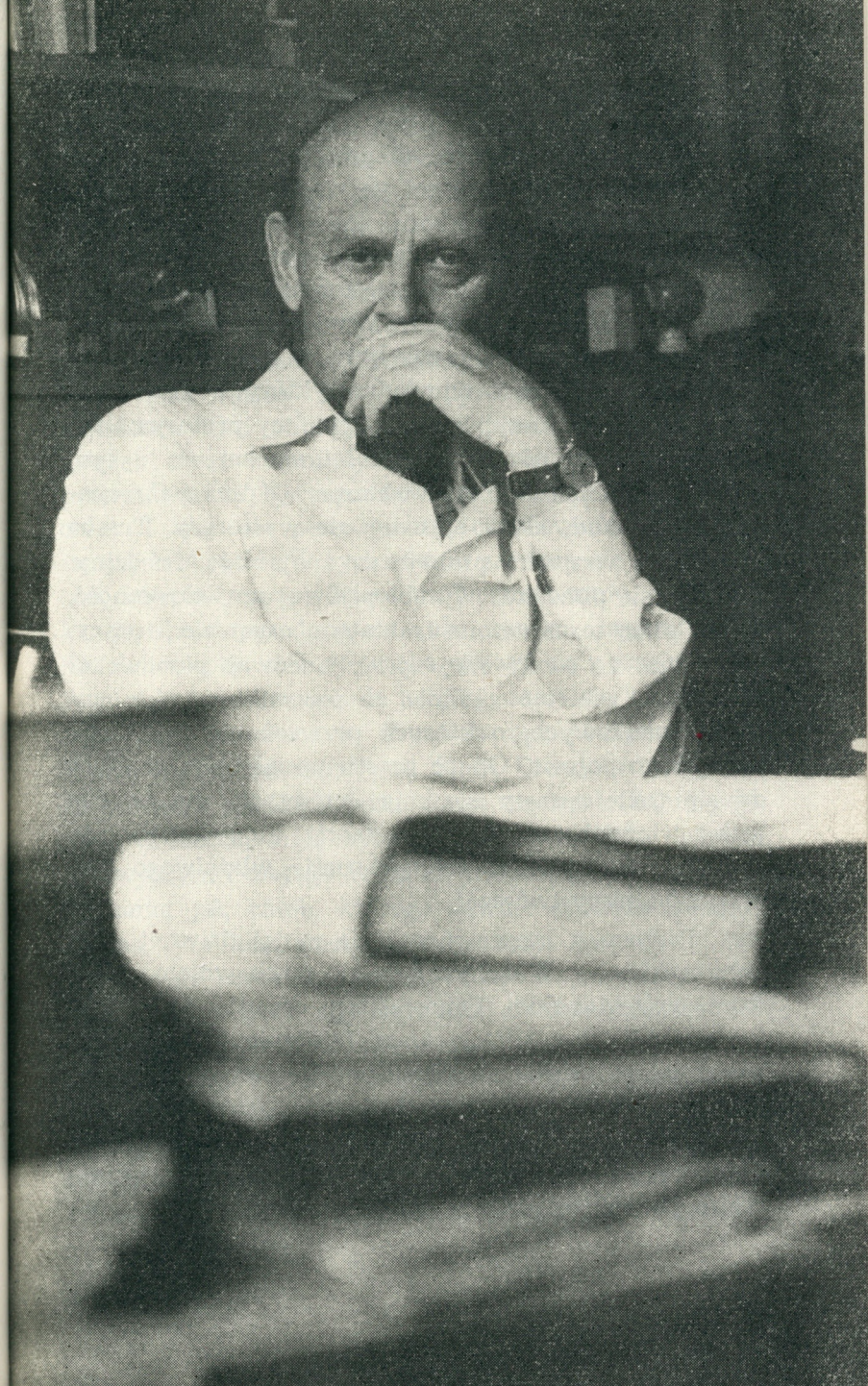
do pracy i na bezwzględnym wykonywaniu powierzonych sobie czy przyjętych na siebie obowiązków. Serio stosunek do własnego i cudzego wysiłku. Mojemu ojcu i innym ludziom z wczesnego okresu młodości zawdzięczam szacunek dla zdrowego rozsądku. I uważam, że jego zanik we współczesnej nauce, szczególnie w naukach społecznych, jest przyczyną ich spłylenia, aż do zaniku społecznej użyteczności. Jest to problem całej naszej aroganckiej cywilizacji naukowej i technicznej, której się wydaje, że tylko to jest ważne, co można włączyć w program komputerów, a to, czego się nie da skomputeryzować i czego się nie wymierzy — po prostu, zwyczajnie nie istnieje. W naukach społecznych wytworzyło się nieszczęsne przekonanie, że można badać społeczeństwo będąc poza nim i ponad nim, badać ludzi nie mając z ludźmi żadnego kontaktu. Tę naukę nazywam „papierową socjologią”. Socjolog konstruuje wiedzę o pewnych procesach społecznych wyłącznie na podstawie jednej metody naukowej, stosu ankiet, które podsuwa mu asystent. W ankietach są rubryki, klasy, szufladki wypełnione przez kogoś jeszcze innego, o czyjej uczciwości uczony przecież niczego nie wie.

Tu powstaje osobny problem moralny. Teraz, kiedy zbieranie ankiet stało się zarobkiem, dla ankietera pokusa wypełnienia rubryki samemu, sfalszowania, staje się nieraz nieprzezwyciężona. Na to uczony nie ma wpływu. Ale przynajmniej powinien walczyć o uniknięcie władzy papierów nad sobą. Może przynajmniej ocalić cokolwiek prawdy mając umysł krytyczny i ten właśnie zdrowy rozsądek. Toteż cieszę się, że moi mistrzowie mówili mi o zaletach wrodzonego zdrowego rozsądku.

Wyduje mi się, że byłby czas najwyższy na rehabilitację zdrowego rozsądku, który nie jest tym sa-

mym, co prostoduszny i bezkrytyczny stosunek do świata. Dobrze byłoby dokonać rehabilitacji wiedzy potocznej, wiedzy płynącej z ludzkiego życiowego doświadczenia. Przecież z obserwacji, z potocznego doświadczenia bierzemy 90 procent znajomości świata. Kiedy leżałem w szpitalu i pisałem esej *Obraz samego siebie*, doszedłem do wniosku, że przecież ja o sobie niczego nie wiem. Coś tam się w moim „środku” dzieje — absolutnie poza moją wiedzą. Nie wiem, co się dzieje w mojej ranie pooperacyjnej, nie wiem niczego o sobie fizycznym, choć mnie to w jak najistotniejszy sposób dotyczy. A co ja wiem o własnej psychice? Co wiem o innym człowieku? Co wiem o słońcu, o gwiazdach, o biologii roślin? Trochę wyczytałem w podręczniku i na tej podstawie jakoś sobie zjawisko kategoryzuję. Ale właściwie cała osobista wiedza, na której opiera się moje działanie wobec świata i ludzi, zależy od mojej wyobraźni i mojej wiedzy potocznej opartej w dodatku na porządku wpojonym mi we wczesnym dzieciństwie. Żyjemy, wszyscy dorośli, w kraju złudzeń i wyobrażeń dzieciństwa. Tam właściwie dokonuje się wszystko — kiedy uczymy się, że coś jest dobre, a coś jest złe, co jest porządne, a co nieporządne, co się robi, a czego nie.

Dlaczego takie to ważne? Jeśli student socjologii, który ma być przykładem rzetelności intelektualnej, zbierając ankiety sam je fałszuje, to jaki z niego będzie uczony, badacz? Jaką będzie miał rzetelność w wykonywaniu obowiązków zawodowych? Przecież uczciwości żadna metodologia nie nauczy. Tego nauczono go w domu rodzinnym, w wieku przedszkolnym. Że albo się kłamie, albo się nie kłamie. Trzeciego wyjścia nie ma. Zostaje uczciwość i własny rozum.



Ojciec, prosty człowiek, nauczył mnie odpowiedniego stosunku do własnej dziedziny wiedzy i ludzkiego do niej stosunku, nieprofesjonalnego. Miałem okresy aroganckie, kiedy mi się wydawało, że przecież jestem ten zawodowy uczony, mam swoją metodę naukową i mogę sobie poradzić ze wszystkimi problemami świata. Nie sądziłem, że znalazłem kluczyk, raczej, że znalazłem wytrych. Wytrych otwiera wszystkie drzwi. Nie, to nawet nie były błędy młodego wieku. Nawet jeszcze w wywiadach, których udzielałem kilka lat temu, znajdzie pani echa tej profesjonalnej zarozumiałości. Ale dziś wiem, i staram się o tym przekonać moich uczniów: owszem — doskonale opanowanie metod, ale to jeszcze nie wystarczy. Trzeba mieć nade wszystko praktyczną znajomość dziedziny, o której się pisze, zdrowy chłopski rozum i skromność. Kiedy piszę teraz uczone traktaty o organizacji pracy, pamiętam, że kiedy mój ojciec budował płot wokół pastwiska, robił to zgodnie ze wszystkimi regułami metod naukowych, o których przecież nie miał najmniejszego pojęcia. On po prostu umiał to robić. Kiedy się takie sprawy rozumie, wtedy się nie tworzy lekko wielkich, napuszonych teorii. Mogę więc powiedzieć, że to ojciec nauczył mnie właściwego stosunku do pracy twórczej.

Powiem o innym momencie mojej dziwnej edukacji naukowej. Widzi pani, ja się wychowałem w rodzinie protestanckiej. Panował tam obyczaj dość egzotyczny dziś. W niedzielę przed południem ojciec czytywał na głos całej rodzinie *Postyllę* Dambrowskiego, pisaną w staropolszczyźnie trudnej do zrozumienia dla małego chłopca. I choć nie rozumiałem, słuchałem z nabożeństwem i odtąd książka była dla mnie czymś takim jak religia.

A kiedy podrosłem, nauczyłem się czytać i pisać, pojawił się w moim życiu człowiek, który pokazał, czym może być książka. Tym człowiekiem był Jan Wantuła. On sam był przykładem sił twórczych i intelektualnych tkwiących w ludzkiej naturze, mówiąc patetycznie. Był chłopem i robotnikiem, jednocześnie właścicielem małego gospodarstwa, znakomitym pomologiem zasłużonym dla rozwoju sadownictwa na Śląsku Cieszyńskim. Chodził pieszo z Ustronia do Trzyńca, gdzie pracował jako hutnik. Był wybitnym działaczem niepodległościowym i publicystą. Równocześnie zbieraczem książek; miał wspaniałą zbiorówkę staropolskich druków protestanckich. Korespondował z Prusami i Ochorowiczem. I Wantuła pewnego dnia zaprowadził mnie do swojej biblioteki. W tym zdaniu zawiera się właściwie wszystko, co mu zawdzięczam. Nauczył mnie, że książka jest nie przedmiotem, ale żywym organizmem, jest dobrem, do którego trzeba odnosić się z szacunkiem. Jego nabożny stosunek do książki stanie się zrozumiałszy, kiedy powiem, że Wantuła był kontynuatorem Pawła Stelmacha, który na Śląsk Cieszyński przynosił pierwsze polskie książki. Śląsk nie miał żadnej polskiej drukarni, mało było tych książek, były dobrem niezwykle cennym i dlatego Wantuła traktował je z czcią taką samą jak chleb, którego równie niewiele rodziło się na tym kamienistym podgórskim gruncie i też należało go bardzo szanować. Miłość do książek zaczęła się od nakazu, aby się z nimi dobrze obchodzić — nie ślinić, nie brudzić, nie zaginać kartek. Tak rozwijał się stopniowo w człowieku szacunek i pieczołowitość dla wszelkich dóbr kultury. Wie pani, bardzo jest ważne, kiedy się przejdzie w dzieciństwie szkołę szacunku dla wartości niematerialnych. Bo potem wszelkie sprawy kultury, a także i sprawy ludzi traktuje

się niezwykle serio. I nie wiem, czy ktoś z was, młodych, potrafi mnie jeszcze w tym punkcie zrozumieć, bo wy przecież jesteście przyzwyczajeni do masowej kultury, do jej niedawnej obfitości, a nawet nadmiaru odejmującego wartość. A ja o wartości kultury miałem ⁴pojęcie już wtedy, kiedy słuchałem ojca czytającego niedzielne kazanie. I kiedy widziałem Wantułę, jak siadał do książki w tych nielicznych wolnych chwilach (czasu miał mało, przecież kilka godzin zajmowała mu piesza wędrówka z Ustronia), i dla którego godziny przy książce były świętem, oderwaniem od codzienności. Wówczas zrozumiałem, że należy zrobić wszystko, żeby życie nie tylko miało wartość, ale żeby było też świętem.

Kiedy wybrałem swoją drogę, kiedy się dowiedziałem konkretnie, co chcę robić w życiu? Dość późno i trochę przypadkowo. Długo wystarczało mi, że Wantuła miał w bibliotece Spencera i Nietzschego, chadzałem tam, czytałem, filozofowałem. I chciałem zostać leśnikiem. Wymagania życiowe miałem wtedy niesłychanie małe, a wyobraziłem sobie, że im skromniejsze będę miał stanowisko, z tym większym skupieniem będę się mógł zajmować filozofią i badaniem spraw ludzkich. „Kreślę znaki, którym potrzeba tylko szumu bambusów, a które są wieczne”. Tak sobie wyobrażają czasem życie uczonego bardzo młodzi ludzie. Toteż będąc jeszcze w gminazjum, rozpocząłem praktykę w leśnictwie w Ustroniu. Co się dalej stało? Nic. Tylko... w moim życiu pojawił się Julian Przyboś i — zaczął. Wprowadził w świat sztuki, teatru, poezji. Nas, prostych chłopaków z podgórskich wiosek, z bardzo prymitywnych, bardzo ciężkich warunków (ja ostatecznie miałem ojca i Wantułę, inni tego nie mieli) przerobił na gromadę ludzi o dość wysokim poziomie intelektual-

nym w ciągu kilku lat zaledwie. Wciągnął w atmosferę myślenia i tęsknot za nowym. Wśród moich kolegów był Kornel Filipowicz, był Alfred Łaszowski, który na jakiejś akademii zamiast przepisanej wierszyka wyrecytował *Lewą marsz* Majakowskiego.

A Przyboś? Był o dziesięć lat od nas starszy. Właśnie, niemal rówieśnik. I w dodatku bardzo drobny, niskiego wzrostu. Kiedy po raz pierwszy wszedł, klasa spojrzała na niego w najwyższym zdumieniu. A kiedy przyszedł po przerwie, klasa wstała i zaintonowała chórem kolędę: *Powitajmy maleńkiego*. A Przyboś stanął — spojrzał na nas spokojnie, bez gestu. Kiedyśmy ucichli, powiada: Siadajcie, jołopy. I wtedy wstał kolega, z Dziegielowa chłopak, i zapytał: Panie profesorze, co to jołop, bo my jeszcze takiego słowa nie słyszeli. A Przyboś spokojnie: Przejrzyj się w lustrze, sam zobaczysz.

Potem mówił nam o literaturze, czytał wiersze, mówił o świecie, o ludziach. Myśmy ze względu na niego zaczęli czytać czasopisma: „Linie” krakowską, peiperowską „Zwrotnicę” — tylko dlatego, że on tam publikował. Pierwsze zetknięcie ze sztuką plastyczną nastąpiło w momencie, kiedy ukazało się „Sponad” w bardzo pięknym i rewolucyjnym układzie graficznym Strzebińskiego. Za sprawą Przybosia zobaczyliśmy teatr, bo chodził tam z nami. Zwykle było nas dwunastu, tylu, ile miejsc bezpłatnych w teatrze. A on w przerwach rozmawiał z nami, jak dany efekt wygląda w innym teatrze, jak to jest w innych sztukach.

Gdybym miał wymienić najcenniejszą zaletę Przybosia? Chyba powiedziałbym: tolerancja. I pani nie wierzy? No, rzeczywiście, w stosunku do literatury, do swoich kolegów literackich był może mało tolerancyjny. Przed maturą któryś z nas zauważył, że nie czy-

taliśmy Kasprowicza. A on na to: Nie straciliście, to nie poeta, to wodolej. Lecz w nas tolerował i nieśmiałość, i głupotę, i wszystkie naiwności. Nienawidził fanatyzmu i może wbrew temperamentowi starał się jednak ukazywać zalety odmiennych od lubianej przez siebie szkoły. Dlatego, że jak mówił, one są przecież przejawem jakiejś twórczości. Mądre było w Przybosiu to spokojne spojrzenie na życie, pełne zastanowienia nad tym, co naprawdę wartościowe. I refleksja: że trzeba stanowczo się zdecydować i wybrać tylko to, co ważne — i tak żyć. A największą wartością człowieka według Przybosia są jego zdolności twórcze i największe szczęście, jakie można osiągnąć, osiąga człowiek w twórczej pracy.

Czy między pracą a tworzeniem stawiał znak równości? Chyba tak, miał wielki szacunek dla pracy fizycznej, to widać w wielu wierszach, choćby w *Śrubach*.

Pyta pani, kiedy z pracy zwykłej wyrasta tworzenie? Więc tworzenie nie różni się niczym od budowania przez dziecko nowego domu z klocków. Tworzenie polega na innym od znanego już sposobu ustawiania klocków. Jest to dodawanie nowych elementów do elementów już znanych. Jeśli ja teraz tworzę nowe teorie naukowe, robię to samo, co dziecko układające swój pałac inaczej niż inne dzieci.

Przyboś? Mówiąc o nim dziś może idealizuję, ale jest przecież jakiś miernik ważności tego człowieka: moja pamięć o nim po pięćdziesięciu latach. Myślę o nim teraz, gdy wyłania mi się teoria czystej indywidualności człowieka. Co przez nią rozumiem?

Moja psychika jest odbiciem świata zewnętrznego. Jest odbiciem całokształtu stosunków społecznych, żeby zacytować Marksa. Ale mimo wszystko jest jeszcze coś,

co można nazwać czystą indywidualnością. I są pewne siły wypromieniowane z tej czystej indywidualności. Wielu ludzi, nawet większość z nas, pozostaje tylko odbiciem całokształtu stosunków społecznych i ci są tylko reflektorem tego, co się wokół nich dzieje. Ale są ludzie, którzy potrafią coś poprzez tworzenie wypromieniować ze swojej indywidualności. Oni właśnie wnoszą to nowe spojrzenie, nowe zasady kombinowania elementów znanych. Ma pani słuszność, że każdy człowiek coś tworzy, gdyż każdy z nas konstruuje w sposób świadomy lub nieświadomy swój dziennik, swoją biografię i każdy z nas chodząc po tej matce ziemi chociażby stopami rysuje po niej jakieś ślady. Ślad odcisnięty stopą zostaje zawiany bardzo szybko, zanim jeszcze człowiek zdąży umrzeć. Ale czasami ślad zostaje. Ten wryty nie tylko stopami na ziemi, ale także i ręką. W jakimś domu przez człowieka zbudowanym, w jakiejś sprawie społecznej przez niego załatwionej. Albo w słowie napisanym i utrwalonym. Człowiek żyje, dopóki ślady jego nie zostaną zatarte. To jest sens wszelkiej ludzkiej twórczości. Każdy chłop, każdy robotnik może zostawić po sobie ślad.

Przyjeżdżam do mojego rodzinnego Ustronia, które w tej chwili zmienia się zasadniczo, i patrzę. Patrzę tak, jak patrzył wnuk Czerwonej Chmury na Pine-Ridge. Rozmawiałem kiedyś ze starym Indianinem, który był wnukiem Czerwonej Chmury. Czerwona Chmura w 1860 roku wyrzucił Amerykanów z trzech fortów wzdłuż Bozeman Trail i był jednym z nielicznych wodzów indiańskich, którzy wygrywali walki z Amerykanami. A jego wnuk pokazywał mi osadę, która stawała się nowoczesnym miasteczkiem i mówił: Widzisz to miejsce, te domy takie? Ja ich nie widzę, ja ciągle widzę tak, jak było kiedyś. I ja też — przy-

jeżdżam do Ustronia i wychodzę na Zawodzie zapchane wielkimi budynkami sanatoriów, wychodzę na Kępę, patrzę na to wszystko i przypominam sobie takie, jak było kiedyś. Mimo że ten krajobraz został przemieniony, jednak został dom, który ojciec mój budował, jest kawał brzeziny, kawał lasu, który mój ojciec zmieniał w pastwisko. On to stworzył i tu jest ślad jego rąk. I wie pani — każdy człowiek jednak wnosi coś i w jakimś stopniu pomnaża to, co zastane. Owszem, czasem choćby nie chciał i choćby sobie sprawy z tego nie zdawał. Najczęściej nawet człowiek sobie z tego sprawy nie zdaje, ale chcąc nie chcąc jego robota jest częścią procesu tworzenia i w ten sposób społeczeństwa rosną.

Przyboś miał bardzo ostre wyczucie, był bardzo wrażliwy na owo rośnięcie. Zarówno sztuki, literatury, jak i dorobku materialnego. Zdawał sobie sprawę, że istotną funkcją człowieka jest dążenie do pomnożenia tego, co zastał. Bo kimże jest człowiek poza tworzeniem? Istotą ciągle gadającą dla podkreślenia swojej ważności.

Znaniecki — on też był niesłychanie wrażliwy na tę samą sprawę, na twórczość. W każdym seminaryjnym referacie wymagał od studentów nowej hipotezy — po to, żebyśmy się nauczyli nie bać własnych myśli. Chodziłem równocześnie do neopozytywistów, którzy tę ideę gruntownie zabijali swoją pedanterią logiczno-metodologiczną, gdyż jedną z cech filozofii neopozytywistycznej była drwina z wieloznaczności, nieprecyzyjności myślenia. Zanim sobie uświadomiłem, ile szkody taka nauka przynosi, minęło wiele lat, dziesiątki lat.

A Znaniecki przychodził na wykład zawsze nie przygotowany, mówił przeważnie o tym, o czym ak-

tualnie pisał. Więc studenci odnosili się do niego trochę lekceważąco: Co ten Florek znowu nabredził. Zwłaszcza ci, którzy chodzili na wykłady filozofii do Zawirskiego i stykali się tam ze szkołą logiczną, szkołą jasnego definiowania pojęć. Właściwie — o czym on mówi? A „ten Florek” wówczas pisał takie książki, jak *Upadek świata zachodniego*, *Upadek cywilizacji zachodniej*, pisał wielką socjologię wychowania. Pisał wstęp do filozofii, który był wielką syntezą, odsłaniał dalekie perspektywy, ustawiał całą dyscyplinę.

Znanięcki przyjeżdżał przed uniwersytet dwukonną bryczką. Od swoich asystentów wymagał umiejętności jazdy konnej. Taki relikw szałachecki. Wykładał siedząc na katedrze, paląc papierosy i pozwalając studentom robić to samo w czasie seminarium. A były to lata trzydzieste i o amerykańskim stylu studiowania nikomu się jeszcze nie śniło.

Raczej, wie pani — trudno było powiedzieć o nim: dobry nauczyciel. On nie był dobry — on był wybitny. On przede wszystkim uważał, że nie jest rzeczą starszego edukowanie młodych, pilnowanie, lecz raczej budzenie wątpliwości, pokazywanie możliwości wielorakich rozwiązań, skojarzeń. Niczego nie chciał i nie potrafił narzucić. Choć ciągle oczywiście obiecywał sobie, że stworzy szkołę, że będzie wymagał od uczniów respektowania swoich założeń metodologicznych, swojego sposobu posługiwania się aparaturą pojęciową. Ale nigdy jakoś nie udało mu się tego konsekwentnie przeprowadzić. Czemu? Myślę, że za bardzo się cieszył, kiedy jego uczniowie szli odrębnymi drogami, za wiele mu to sprawiało intelektualnej przyjemności, żeby miał ich sprowadzać z odmiennych szlaków i wychowywać na swoją modłę, ku własnej chwale. Dlatego pewnie nie ma szkoły Znanięckiego.

Owszem, trudny to nauczyciel. Bo przecież my w młodości mamy przed sobą wiele dróg, z których musimy ułożyć sobie mapę. Jest na niej jakaś główna droga, którą sobie wybieramy. Może ją wyznaczać praca, zawód. Jeśli jestem lekarzem, muszę pracować w takich a takich warunkach. Jeśli inżynierem — będę musiał robić to a to. A główna droga też nie jest asfaltowa. Idzie czasem pokrętnie i każe mi się pętać, potykać na nierównościach. A tu jeszcze codziennie mamy do wyboru inne drobne ścieżki i nie wiemy, czy powinniśmy pójść tu — czy tu? Codziennie podejmujemy decyzje, od których nie ma odwrotu, a każdy odcinek przebytej drogi za każdym następnym krokiem zapada się w nicłość. I nie ma gdzie się cofnąć, poprawić. Co ode mnie zależy na tych dużych i małych ścieżkach? Przecież nie wiem, co mnie na nich spotka, kogo spotkam za zakrętem ulicy.

Stąd jest w naszym życiu irracjonalność i niepewność, może trochę magii, losu. Co decyduje o mnie — ja czy mój los? Przecież bojąc się ogromnie muszę wybierać, decydować i wiedzieć na pewno dokąd iść, po to, żeby na drodze zostawić swój ślad. Dlatego, choć ciągle wierzę w to, czego nauczyłem się od swoich mistrzów, że sens życia przejawia się w pracy twórczej, w nauce, w sztuce, jednak coraz bardziej dochodzę do przekonania, że prawdziwa wielkość człowieka na czym innym polega. Ludzie myślą: człowiek jest wielki, bo leci na Księżyc, więc dokonuje tego samego, co aniołowie i bogowie. A mnie się wydaje, że człowiek jest wielki nie w nauce, nie w twórczości, ale właśnie tam, gdzie rozprawia się z własnym losem, gdzie musi stawić czoła siłom, o których nie wie nic, na które nie ma żadnego wpływu. Tu jest dopiero teren zarezerwowany dla bogów. Tworzenie coraz doskonals-

szych rakiet, maszyn stanie się kiedyś zwykłą rutyną, jeśli o siłach działających będziemy wiedzieli więcej i poznamy ich metody i granice. Ale gdzie jest granica sił moralnych, których wymaga od nas życie: od chłopki, która pochowa swoje ostatnie dziecko i wraca z pogrzebu do swojego domu, do swojego chleba, do swoich krów i do swoich spraw ludzkich, codziennie znosząc w milczeniu, w absolutnym milczeniu ten ból, ten los, który przekracza wszystkie jej siły. Tu nie ma granic naszej potęgi, bo nigdy nie będzie miała granic nasze cierpienie. W sytuacjach, kiedy już nie panujemy nad niczym, na nic nie mamy wpływu, a sprawa dotyka nas najgłębiej.

Więc jak to jest? Kiedy jeszcze jesteśmy sobą, kiedy jeszcze dysponujemy sobą, a kiedy nie? Przychodzi ten moment na każdego. Gdy nie jesteśmy już niczego pewni i stajemy bezradni, słabi i smutni wobec losu. I jeszcze dodatkowo wobec innych ludzi, których się boimy. Tak, bo jakże mało jest ludzi, którzy podchodzą do innych, jak Znaniński mówił „z punktu widzenia pozytywnego uprzedzenia”. Otóż człowiek bardzo kiepsko się lokuje nawet wśród szczurów i rekinów, gdyż należy do gatunków, które się wzajemnie zagryzają. A tych jest w przyrodzie niemało. Lwy się zagryzają w walce, ale wilki już nie.

Ależ nie! W życiu można mieć wiele piękna, wiele radości. Można mieć wiele radości kochając, kiedy się dobrze znajdzie, można mieć wiele zadowolenia z dzieci, ze współpracy z ludźmi. Jest radość w potwierdzaniu siebie samego. Cieszę się, kiedy widzę swoją sprawność, gdy mogę jeszcze biegać po lesie w piękny ranek, w słońcu jesiennym i znam rozkosz chłodnego wiatru, ostrych barw, własnego ruchu. Jest radość w potwierdzaniu, w pewności, że jeszcze dobiegnę. Jest radość,

kiedy się pisze, kiedy się pracuje. Nazywają to radością tworzenia. Chociaż Mann miał inne zdanie: tworzenie jest budowaniem mozolnym, pełnym męczarni. Radość przychodzi dopiero od dzieła skończonego. A i ona jest trudna, gdyż człowiek ma tyle wątpliwości, czy warte jest coś jego dzieło. Naprawdę daje satysfakcję, gdy człowiek znajduje echo pozytywne wśród ludzi, kiedy ktoś pamięta o nas. I jest jeszcze wielka radość kształcenia młodszych od siebie. Ale ona jest dostępna tylko pod warunkiem, że się wie, iż spór, a potem rozstanie profesora z uczniem jest nieuniknione.

Wykształciłem trzydziestu kilku doktorów. Wiem, ile pracy w nich włożyłem. Ale jednocześnie wiem, że każdy z nich ma naturalną skłonność do pomniejszenia mojej pracy, tak samo jak ja mam skłonność do powiększania — bo to moja praca, bo to przecież ja. Jeśli nauczyciel będzie oczekiwał zapłaty, poniesie klęskę. Nauczyciel musi ponosić koszty, bo doznaje radości wychowywania.

Stworzyłem sobie etyczną doktrynę racjonalnego egoizmu. Została potępiona jako drobnomieszczańska, ale ja dalej ją głoszę. Na czym polega? Jeśli będę nawoływał uczniów: bądź dobry, bądź altruistą — przecież mnie wyśmieją. Mówię więc: Jeśli chcesz mieć to czy tamto, musisz być dobry dla tych, od których twoje dobro zależy. A od kogo będzie zależało — nigdy nie wiadomo. Więc mówię: Racjonalny egoizm polega na tym, aby wiedzieć, iż własne cele życiowe osiągamy najlepiej pomagając innym. Że to tylko inna nazwa altruizmu? Oczywiście. Ale altruizmu bez przesady, w racjonalnych granicach. Ja bym w takim podejściu do świata widział możliwość uporządkowania stosunków międzyludzkich, nawet stosunków gospodarczych.

Czy przyniosłoby to rzeczywisty efekt? A wie pani, jakie jest największe ryzyko wychowania? Ono polega na tym, że wychowawca jest skazany na działanie we mgle. Przecież tak naprawdę nie znam swojego ucznia i nie mogę mieć pewności, co z mojego działania wyniknie. A z drugiej strony jest przecież moim zadaniem wyznaczenie zachowania uczniów na całe dalsze życie. Jednocześnie nauczyciel nie wie, kiedy to, co ważne, spływa po wychowanku jak woda po gęsi. Czasem znów wystarczy jakiś drobiazg, nawet niezamierzony, i jego ślad zostaje w drugim człowieku na całe życie.

Jak to jest? Jak różnorakie odcienie między ludźmi zracjonalizować, jak zmienić w skuteczną technikę wychowania, w metodę? Tego nikt, kto rozumie, co czyni wychowując — nie wie. Tak naprawdę wpaja się pewne zasady przyzwoitości i jakiś własny stosunek do ludzi, który niechby im został na całe życie. I to wszystko. Niczego więcej nie można. Mnie nauczono, że istotą stosunku do innych powinno być współczucie, bo my wszyscy, ludzie, jesteśmy osobnikami godnymi współczucia z tej tylko racji, że jesteśmy ludźmi. Ale kto mnie tego nauczył — Wantuła? Przyboś? Czy może Znaniński? Nie wiem i nigdy pewnie wiedzieć nie będę.